

Malarze

10 grudnia 2015

To specyficzna grupa ludzi. Nie będę tu pisał o malarzach pokojowych, chociaż wśród nich też bywają znani w kilku kwartałach ulic „artyści”. Nie opiszę też „malarzy”, którzy zajmują się oszpecaniem miast, miasteczek i przysiółków różnego typu ohydztwem, choć ten rodzaj wandalizmu poprawność polityczna każe nazywać sztuką, w rozdziale noszącym miano graffiti. To temat na inny artykuł, mimo że proceder nanoszenia koszmarnego paskudztwa na płoty, ściany budynków, wagony kolejowe itp. nosi pewne cechy podobieństwa do dziadostwa pacykowanego na płótnach blejtramowych. Na tego typu sztuce znają się tylko jarmułkowi specjaliści i oni nakreślają kierunek. Jako gorzej urodzony, mam wypaczone poczucie piękna, więc nie wolno mi oceniać.

Przebywam często w światku artystycznym, co jako o jako Dyżurnego Psychiatrę Kraju, zmusza do obserwacji klinicznej, bowiem rzadko bywa, aby zdrowi na umyśle byli. Jeśli na pierwszy rzut oka artysta wydaje się normalny, to po bliższym poznaniu szybko wyjdzie na jaw, że pacjent nadaje się do długotrwałego leczenia. Artystów zżerają nałogi, dewiacje seksualne, urojenia, fobie itd. Stwierdzam, że w szpitalach psychiatrycznych jest więcej ludzi normalnych, niż w środowisku artystycznym. Malarzy dotyczy to w szczególności.

Pierwszego malarza poznałem jeszcze w młodości i na początku facet wydawał się normalny. Wykazał się nawet dobrym rozumieniem świata. Może dlatego, że pochodził z lubelskiej wsi i potrzebował trochę czasu, aby zepsuć go nowoczesny styl życia, narzucony przez popularyzatorów New Age, czyli wszelkich zboczeń, ateizmu, kosmopolityzmu, egoizmu, cwaniactwa itd. Jako jeszcze nie zdemoralizowany Polak, miał trudności adaptacyjne na uczelni w wielkim mieście, tym bardziej, że studiował na ASP, gdzie żydzi stanowią bardzo wysoki odsetek zarówno wśród studentów jak i wykładowców. M.

in. Na ASP wykładał niejaki Szymon Kobyliński, znany niegdyś z telewizyjnego ekranu rysownik. Ten popularny i lubiany przez telewidzów żyd, miał na uczelni zgoła inne oblicze. Lubił mawiać polskim studentom (zgodnie z wykładnią Talmudu), że Polacy są stworzeni do łopaty, a nie do pracy twórczej. Inni wykładowcy do polskich studentów podchodzili podobnie. Nic zatem dziwnego, że Janusz B., choć ponoć był zdolny, to kunsztu malarskiego nie wykazywał. Na domiar złego, nawet nie wyglądał na artystę. Artysta bowiem winien mieć długie kudły, a na łbie powinien być osadzony czarny kapelusz z ogromnym rondem. A ten nawet brody nie posiadał. Nie miał nawet ufajdanych butów i kilkunniowego zarostu. Więc co to za artysta?

No więc Janusz B. wyglądał na zwykłego faceta, który malował swoje nic nie warte lansafty, czasem pochlał jak normalny chłop, czasem potargał swojej babie czupiradło, aby jej wątroba nie gniła. Ale produktów jego twórczości nikt nie chciał kupować nawet za psie pieniądze, toteż lądowały one na strychu, gdzie użytek mogły robić z nich tylko myszy i nietoperze. Pieniądze, które malarz miał ze schedy się skończyły, więc musiał coś wymyślić, aby nie zdechnąć z głodu. Oczywiście do żadnej pracy nie poszedł, bo artysta nie może się zdeklasować. Wreszcie jak to geniusz, wpadł na doskonały pomysł i wysłał swoją małżonkę do burdelu na południe Włoch. Ładna, cycata blondynka miała niezłe powodzenie, ponoć dziennie przyjmowała ponad 20 klientów. Pieniądze z południa zaczęły napływać do malarza szerokim strumieniem. Po jakimś czasie, Janusz B. zaczął jeździć nowym mercedesem, a później wozic w nim dziewczyny z coraz młodszego rocznika. Za każdym razem przedstawiał mi studiujące siostry cioteczne, później kuzynki licealistki, wreszcie gimnazjalistki. Czasem chwalił się, że to jego modelki i pozują mu do aktów. To było raczej nieprawdopodobne, bo ten artysta nie potrafił nawet naszkicować kobiety. Kiedyś usiłował namalować konia i wyszedł mu jakiś zupełnie nieznany ssak – coś co przypominało krzyżówkę psa z hipopotamem. Poddałem mu wtedy pomysł, aby

zaczął malować pejzaże spoza naszej galaktyki, na której umieści nieznaną na Ziemi faunę i florę. Myślałem, że artysta się obrazi, ale on uznał to za doskonały pomysł.

W naszym kołtuńskim społeczeństwie, fakt posiadania pieniędzy człowieka nobilituje. Toteż malarz zyskał powszechny szacunek i uznanie. Zmienił też poglądy z „szowinistycznych” na kosmopolityczne, więc otworzono przed nim salony. Właścicielami salonów Polacy raczej nie bywają i byle kto tam nie trafia. Na salonach więc malarz poznał pewną niewiastę (ale nie białogłową) i muszę przyznać, że całkiem do rzeczy, która zamiast nosa posiada gustowny haczyk i oczy wielkości judaszowych srebrników.

Widocznie Janusz B. bardzo się zakochał, bo rozszedł się z małżonką. Co do winy rozkładu związku, sąd nie miał wątpliwości. Malarz bowiem przedstawił dowody, iż jego małżonka uprawiała najstarszy zawód świata. Sąd nie dał wiary w fakt, iż nie pojechała do Włoch na własne życzenie. Odebrał też prawa rodzicielskie byłej malarzowej, w zamian za co przysądził solidne alimenty na jedyne go syna. Kobieta nie miała dowodu na to, że wszystko co zarobiła, przekazywała mężowi. Sprawiedliwość więc, jak zawsze zresztą – zatryumfowała.

Na weselu państwa B., malarz prastarym obyczajem rozdeptał buciozem kieliszek. Na farta. Grali klezmerzy i jadło było koszerne. A po weselu dokonał się cud. Janusza B. zauważyli „znawcy” sztuki. Tu wystawa, tam wernisaż. Raz wywiad w radio, innym razem artykuł w prasie. W rezultacie, nawet stare, zafajdane przez gołębie lanszafty ze strychu, znalazły nabywców. Polska zyskała jeszcze jednego, wcześniej nie docenianego wybitnego twórcę.

Zupełnie inny los spotkał Andrzeja G. z warszawskiego Ursynowa. Muszę przyznać, że Andrzejek miał prawdziwy talent. Zaczynał od portretów, które robił przeważnie kolegom od gorzały. Portrety były świetne, choć dla mnie zbyt ciemne,

zbyt ponure. Czuć było jednak rękę mistrza.

Andrzejka poznałem przez Bogdana L. muzyka z zespołu Brekaut, niegdyś najlepszego zespołu big – beatowego w Polsce. Oczywiście poznałem go w trakcie jakiejś artystycznej popijawy. Jędrus w przeciwieństwie do Janusza B. miał klasyczny wygląd artysty, charakteryzujący się potężnym, rudym czupiradłem na głowie, w której roiły się stale chore myśli w wyniku DELIRUM ALCOHOLICUM. Kilkanaście lat temu Andrzejek znajdował się jeszcze w pierwszym okresie DELIRUM TREMNES, tzw. STADIUM PRODROMORUM, i bywały dni, kiedy jego SENSORIUM nie odbiegało od normy i można było z nim normalnie porozmawiać.

W tamtym czasie Andrzej G. malował jeszcze dużo i miał stały zbyt na swoje obrazy. Przyjeżdżał do niego marszand z Niemiec posiadający eleganckie pejsy i brał wszystko hurtem, co tylko Andrzej namalował, płacąc jeszcze wtedy markami spore sumy. Ale z tego co wiem, to żyd wielokrotnie więcej zarabiał, bo dzieła Andrzeja G. trafiały do znanych galerii nawet za ocean.

Kiedyś tak właśnie zarobiony Andrzejek przybył po Bogusia i po mnie do Ursusa, bo lubił spożywać w kręgach artystycznych. Przyjechał taksówką ze swoją garbatą konkubiną Grażynką, ale wcześniej nabomblował się piwskim i co chwila musiał sikać. Robił to jak prawdziwy artysta, publicznie i przy ruchliwych ulicach. Malarz stawał na chodniku trzymając ręce z tyłu. Rozpięcia rozporka, odszukania i wyjęcia instrumenciku, dokonywała garbuska, po czym czynności te powtarzała w odwrotnej kolejności do tej sprzed sikania. I tak kilka razy, bo artysta stale uzupełniał płyn w organizmie.

Jędrus mieszkał w swojej ogromnej pracowni na ostatnim piętrze wieżowca na warszawskim Ursynowie. W mieszkaniu nie było ścianek działowych, a strop podtrzymywały drewniane słupy. Trzeba przyznać, że Grażynka dbała o czystość, bo nigdzie nie stwierdziłem pyłku kurzu.

Gospodarz właściwie mebli nie posiadał, tylko kącik kuchenny był dobrze urządzony. Ale to królestwo Grażynki. Artysta sypiał na materacu, bo z łóżka spadał. A tak, z materaca do podłogi nie było daleko. Przy materacu stała wieżyczka z kamieni, którą malarz stawiał szybko i bez znaczenia, ile miał w organizmie promili. Ja tych otoczków nie potrafiłem ustawić nawet po trzeźwemu. Było jeszcze łoże dla gości, jakaś mała szafa i sztalugi. No i oczywiście obrazy. Niemal każdy przedstawiał straszliwe smoki, potwory, które Andrzejek widywał jako żywe w stanie omamów wzrokowych (HALLUCINATIONES VISUALES). Dlatego malował te stwory niejako z natury. Szczerze mówiąc, człowiek który budzi się wśród takich obrazów na ciężkim kacu, łatwo może doznać ostrego zespołu wieńcowego, a mówiąc po ludzku – zawału mięśnia sercowego.

No więc kiedy się tam obudziłem, na szczęście była jeszcze wódeczka, którą w obfitej ilości wprowadziłem do trzewi i potwory zaczęły mi się jakoś przed oczyma rozmazywać, tracić na ostrości. To mi ocaliło zapewne marny żywot.

Andrzejek jednak miewał coraz częściej zamęcenia świadomości i nietrzymanie afektów (INCONTINENTIA AFFECTIVA), przez co trafiał do szpitala psychiatrycznego. Malowanie potworów nie wyszło mu na zdrowie. Kiedyś malował smoka tak jak go widział, bo wielogłowy potwór siedział grzecznie w kącie pracowni i pozował. Ale ten znajdujący się na blejtramie, chciał Andrzejka pożreć. Przerażony malarz chwycił siekierę i ze dwie godziny walczył z potworem, bo ten opuścił obraz i nie rezygnował ze swych niecných zamiarów. Zanim przyjechały odpowiednie służby, bo odgłosy bitwy słychać było w całym bloku, malarz zdążył porąbać w pracowni wszystko na drobny mak. Fakt ten nie przeszkodził wcale marszandowi z Niemiec kupować od Andrzejka obrazów. Za to Grażynka zabrała swoje manatki i opuściła artystę na zawsze.

Na malarza przyszły ciężkie czasy, bo nie miał mu kto matkować. Całymi tygodniami siedział w swojej pracowni nękany CYKLOFRENIĄ, i opilstwem okresowym (DISPOMNIĄ). Jednak spod

jego pędzla wychodziły rzeczywiście dzieła, które musiały mieć dużą wartość, bo żyd z Niemiec bez przerwy dzwonił z pytaniem, czy Andrzejek dokończył obraz. Teraz marszand odbierał każde dokończone dzieło, by nie padło ofiarą siekiery, jak wiele wcześniej namalowanych obrazów.

Po ostatniej wizycie marszanda, Andrzejek miał plik pieniędzy, więc zaprosił innego artystę, poznanego wcześniej w „wesołym miasteczku”, jak malarz nazywał szpital psychiatryczny. Artysta przyprowadził ze sobą dwie młode, nieskromne panienki. Balanga połączona z orgietką trwała wiele dni, aż obaj artyści popadli w stan majaczenia drżennego. Obaj też ulegli złudzeniu (ILLUSIONES), że panienki mają więcej niż dwie piersi. Fakt ten panowie przyjęli raczej z radością. Jednak Andrzejek po wnikliwych oględzinach, stwierdził, że narządy płciowe dziewczyn, są usytuowane poprzecznie.

To nie mogło się dobrze skończyć. Tatuś Andrzejka miał bowiem przykrości ze strony UB. Był bity i torturowany pod nadzorem Julii Brustygier (Krwawej Luny) i do 1956r. siedział w pudle za patriotyzm.

Są różne wersje wydarzeń, które pobudzają raczej do śmiechu. W każdym razie nikomu nic się nie stało, choć wiadomo, że Andrzejek dostał ataku szału (SIVE FUROR). Ponoć odkręcony był gaz w piekarniku kuchenki. Dlatego do pracowni malarskiej przybyli przedstawiciele straży miejskiej, policji, straży pożarnej i ratownicy medyczni, którzy przebrali malarza w gustowny kaftanik i wywieźli do „wesołego miasteczka”. Tam zdiagnozowano u niego (DELIRUM INFECTIOZUM), które przechodzi dopiero po 5-6 tygodniach intensywnego leczenia.

Po wyjściu ze szpitala, Andrzej G. zyskał miano skrajnego semity, nazisty itp. Marszand już nigdy do niego nie przyjechał i nikt nie kupił ani jednego obrazu, bo drzwi „polskich” galerii są przed nim zamknięte. W Polsce można być czubkiem i alkoholikiem, co gwarantuje demokracja. Jednak nawet w demokracji, nie może być TOLERANCJI, dla niepoprawnych

politycznie omamów wzrokowych.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski – Dyżurny Psychiatra Kraju

Źródło: Wolna-Polska.pl